



Kraków, 1994

*Ewa Śledziwska*

Absolwentka z roku akademickiego 1954/1955

## KOŁO PRZEDMIOTOWE CHEMIKÓW W OKRESIE ZMIERZCHU EPOKI STALINOWSKIEJ 1952–1955

Jak twierdzili znawcy przedmiotu, a znawcy byli to nie byle jacy, bo nasi nauczyciele akademicy, nasz rocznik zaczynający studia na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii Uniwersytetu Jagiellońskiego w roku 1951 był rocznikiem bardzo udanym. Wydał owoce w postaci wielu profesorów, docentów, doktorów habilitowanych, doktorów i magistrów obficie zaludniających uczelnie w kraju i za granicą, placówki PAN i instytuty badawcze. Nie uwzględniając tytułów i stopni naukowych, wrzucam do wspólnego kotła, a raczej do wspólnej retorty, nazwiska luminarzy nauki i nauczania, którzy pod niebem Polski, Australii, Algierii, Nigerii, Stanów Zjednoczonych, Wenezueli, licznych krajów Europy Zachodniej, Środkowej i Wschodniej udowadniali prawdziwość twierdzenia wyżej wymienionych znawców. Lista nazwisk jest długa i może powinna być jeszcze dłuższa. Tych, których nie wymieniałam, gorąco przepraszam, moje jedyne wytłumaczenie to niedoinformowanie, którego nie należy nazywać sklerozą. Spośród absolwentów tego „znakomitego rocznika” wierni macierzystemu wydziałowi pozostali: Andrzej Barański, Alina Samotus, Zofia Stasicka, Jan Czapkiewicz, Bogusław Śliwa i pisząca te słowa. Andrzej Fuliński w zasadzie także, bo wymienił Mat.-Fiz.-Chem. na Mat.-Fiz. Stanisława Kuśmierczyka barwne losy niosły przez Zakład Chemii Organicznej i ŚLAFiBS do górskich schronisk, aż wreszcie osiadł przy stole restauracji „Wierzynek” jako jej dyrektor. Zdzisław Szegłowski zasilił szeregi uczonych Instytutu Fizyki Jądrowej w Krakowie, Janina Pawlikowska-Czubak podobnie jak Jerzy Słoczyński Instytut Katalizy PAN wśród Niezapominajek, Henryk Chojnacki wspiera naukę wrocławską, Zofia Stark-Konikowa działa na AGH, Alicja Marszałek-Pelc oraz Witold Roszkiewicz wybrali Politechnikę Krakowską, Józef Krzeczek Akademię Rolniczą, a Stefana Michałka i Mariana Lodowskiego uwiodło wojsko, za pośrednictwem Szkoły Wojsk Chemicznych. Znakomita para Maria Kolankowska-Szczodry i Aleksander Szczodry pracują w laboratorium badawczym POCh w Gliwicach, a Jan Perkowski odwiedza nas podczas dorocznych konferencji poświęconych katalizie, przyjeżdżając z Instytutu Badawczego w Kędzierzynie. Najdalej od ulicy Ingardena 3, bo aż w Australii, para się nauką Stefan Wiktorrek. Należałoby jeszcze wspomnieć Tibora Petrysa, ale... to już całkiem inna historia.

Już podczas egzaminu wstępnego okazało się, że niemal wszyscy mają bardzo ambitne plany. Nagrody Nobla zdawały się być w zasięgu ręki i tylko jeden z kandydatów oświadczył skromnie, że chce pracować w paście, co zresztą Nobla nie wykluczało.

Na początku było koło przedmiotowe, taki naukowy odpowiednik pierwszego kroku bokserkiego. Wygłaszaliśmy referaty pod opiekuńczym okiem Antoniego Pasternaka,

asystenta, którego jedynym konkurentem w sercach studenckich był Mieczysław Dyrek. Tematy referatów mogliśmy wybierać sobie sami. Pamiętam, że dla siebie wybrałam *Fizyczne aspekty zasady nieoznaczoności Heisenberga*. Nie wiem, czy wywarłam wrażenie na trzech „starszych uczonych” z III roku, przybyłych na nasze zebranie w charakterze inspektorów, a to Eugeniusza Weźranowskiego, Teodora Werbera i Andrzeja Witkowskiego, ale samej sobie zaimponowałam odwagą. Ten mój pierwszy krok bokerski miał swój ciąg dalszy. Był nim NASZ wykład o skraplaniu powietrza. Liczba mnoga pochodzi stąd, że do mnie należało słowo, zaś eksperyment został powierzony Janinie Pawlikowskiej, późniejszej wieloletniej pani profesor w Port Harcourt w Nigerii. Już nigdy potem nie czułam się tak „wielką polską uczoną” jak owego dnia, gdy wręczałam zamrożone kwiaty pełnym podziwu, o rok ode mnie młodszym dzieciom ze szkół średnich!

Był to okres na zajmowanie się chemią. Nie miała do niej dostępu ideologia, która ingerowała w historię, literaturę, sztukę. Niechęć do teorii rezonansu była drobnym grymasem doktryny. Nie rozpraszało nas kino, którego główne dzieła miały przekonywać do socjalizmu, ramy obrazów w galeriach wypełniał socrealizm, prasa gromiła wrogów ludu i sławiła wodza narodów, więc nauka i po części sport stanowiły nasze główne zajęcie. Od czasu do czasu budowaliśmy Nową Hutę, gdzie straciliśmy jednego z naszych kolegów, który został zabity przez junaków ze Służby Polsce, gdy bronił swego sadu.

Drugi rok studiów, na który dotarliśmy bez większych strat, był rokiem obniżenia aktywności naukowej. Było to związane z przeprowadzką z ulicy Olszewskiego do nowego gmachu przy ulicy Krupniczej. Siłę mózgu musieliśmy zastąpić siłą mięśni, pomagając w przenoszeniu szkła, chemikaliów, mebli, a w oczekiwaniu na rozpoczęcie pracy, już teraz na wyższym poziomie – bo w Kole Naukowym Chemików – umilaliśmy sobie czas pisanie utworów satyrycznych i wykonywaniem kukiełek do chemicznej szopki organizowanej przez Klub Kotów. Klub Kotów był sekcją brydżową koła. Należeli do niego Andrzej Barański, Andrzej Fuliński, Alina Kosińska, Stanisław Kuśmierczyk i Zofia Wilczewska (Kosińska czyli Samotus, Wilczewska czyli Stasicka – to informacja dla „młodzieży młodszej”). Do czynności umilających dochodziły zbiorowe wycieczki do teatru (na ogół cały rocznik i asystenci), turystyka letnia (z elementami wspinaczkowymi w jurajskich skałkach pod Krakowem pod kierunkiem Jerzego Dumańskiego), turystyka zimowa i narciarstwo z instruktorami Adamem Krawcem, Mieczysławem Dykiem i Zdzisławem Wojtaszkiem, doroczne zawody sportowe UJ, podczas których przez kolejne cztery lata Wydział Matematyki, Fizyki i Chemii zdobywał puchar zwycięzców.

Były też inne rozrywki, ale tylko dla wtajemniczonych, czyli członków ZMP. Niewtajemniczonych było bardzo niewielu. Wiedzieliśmy z opowiadań, że wspomniane rozrywki organizacyjne sprowadzały się do zebrania, na których nad czymś radzono. Radzono czasem nad tym, jak niejaką Ewę Zajac zachęcić do wstąpienia w szeregi. Byłam starościnią roku, oceny miałam niezłe, więc raz do roku w okresie 1 maja czyniono mi nieprzyzwoitą propozycję. Mój opór, a zwłaszcza treść uzasadniająca odmowę, zaowocowały opinią, jaką ZMP bezprawnie, bo przecież nie byłam członkiem, wystawiło mi na zakończenie studiów: „Ewa Z., studentka dobra, światopogląd mieszczańsko-burżuazyjny, kulturalna (chodzi o teatr)” i tyle. Stan nieprzynależności dawał jednak wiele korzyści. Zamiast uczęszczać na zebrania, pochody, capstrzyki mogłam zajmować się wieloma dziedzinami życia, z których jedną stanowiło...

No właśnie... robienie kawałów.

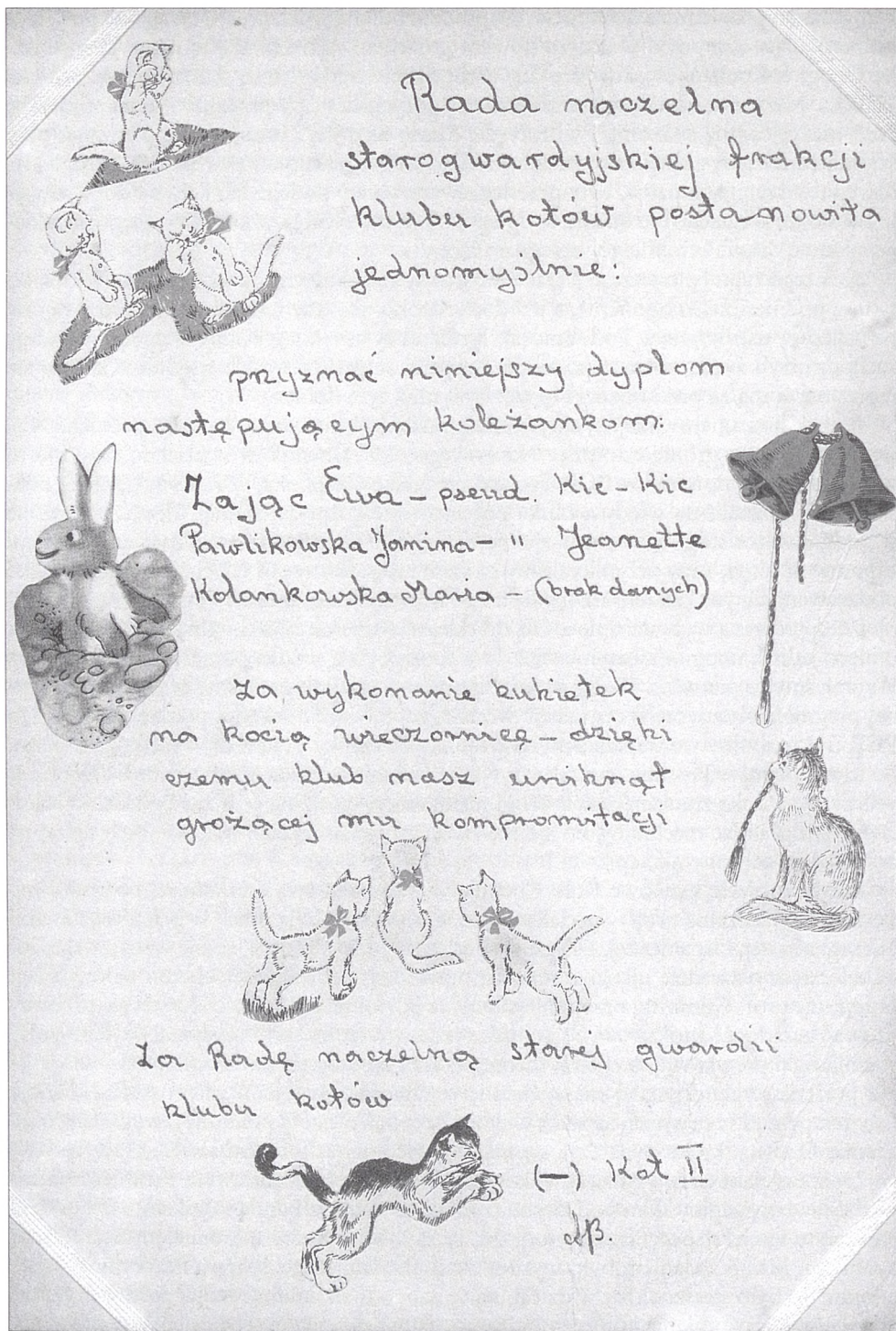
Drzewiej, gdy jeszcze Akademii Rolniczej ani nawet Wyższej Szkoły Rolniczej nie było, gmach Instytutu Chemii otaczały ogródki działkowe. Przecinała je wyłożona płyt-

kami dróżka prowadząca do wejścia, (w pobliżu bufetu „Alchemik”) do okolic przystanku autobusowego przed obecnym nowym gmachem AR. Uliczkę tę nazywałam uliczką Ubogich Kochanków, a wydeptany skrót Skrótem Magistra Adama K. (nb. członka PZPR). Nazwy te zostały wyrzeźbione na sporych deskach przez ówczesną studentkę ASP, nieżyjącą już, znakomitą witrażystkę Marię Skąpską i umocowane przez nas przy ścieżkach. I wtedy zaczęło się! Podobno zebrała się egzekutywa poszukująca wroga klasowego w szeregach partii, były przesłuchiwane osoby podejrzane i chyba dopiero wyjaśnienie, że w nazwie nie ma nic wrogiego, bo jest to tytuł książki lewicującego włoskiego pisarza Vasco Pratoliniego, zażegnało aferę.

Afer tego typu było jeszcze kilka. Wystarczyło narysowanie na tablicy kota (widok od tyłu, z podniesionym ogonem), a już dochodzono, czy aby ten kot nie podnosił ogona na najlepszy ustrój świata. Podobnie jak Tyrmand byłam indagowana, dlaczego naśladuję zachodni tryb życia, nosząc dzolerskie skarpetki w paski i wąskie spodnie. Czułam się represjonowana za przekonania i nawet było mi z tym dobrze.

Jednak naszą najważniejszą aktywnością miała być nie nauka, a praca społeczna. Tak się złożyło, że w gronie członków Naukowego Koła Chemików znalazłam się „dobrowolnie pod przymusem” w PGR Prosino niedaleko Czaplinka, w ramach pomocy miasto – wsi. Poznaliśmy wtedy z bliska pegeerowskie gospodarowanie. Zboże ustawione w podgniwające stogi wrastało w ziemię, żona szefa epatowała nas spiżarniami pełnymi zapasów na zimę, a my przymieraliśmy głodem lub jedliśmy coś tak cuchnącego, że tylko obdarowani silnym katarem mogli się z zawartością miski uporać. Pewnego razu zupełnie zdesperowana wybrałam się z Olą do sklepu w mieście. Półki ugięły się od towaru, o nieco jednak ubogim asortymencie: do wyboru była... wódka pomarańczowa i kołdry. Wybrałyśmy to pierwsze. W drgającym od upału powietrzu gasiliśmy w drodze powrotnej pragnienie roztworem etanolu w wodzie, zaprawionym skórką pomarańczową. Do PGR-u dotarliśmy we wspaniałym nastroju, który szybko przeszedł w nieco pijacki sen. Podczas pobytu w Prosinie oprócz wyrwania z ziemi wrosniętego zboża mieliśmy okazję walczyć ze stonką zrzucaną przez wrogi reżim amerykański na pohybel polskiemu rolnictwu. Wróg widać niechlujny, bo stonkę znaleźliśmy w ilościach wskazujących raczej na potrzebę jej ochrony niż tępienia.

Kiedy wreszcie naukowe Koło Chemików wznowiło swą działalność, podzieliliśmy się na doświadczalne grupy specjalistyczne. Do wyboru była praca w Katedrze Chemii Nieorganicznej, Organicznej, Fizycznej i Technologii. Uważałam, że jako osoba wsławiona referatem o zasadzie nieoznaczoności, powinnam poświęcić się chemii teoretycznej. Opinia, że prof. Gumiński przyjmuje osoby na poziomie genialności, kazała mi przeanalizować zasadność mojego wyboru i tak przez wrodozoną skromność zubożyłam kadrę chemików teoretyków. Do chemii nieorganicznej zniechęciły mnie bolesne doświadczenia prażenia tygla do stałej masy, chemię organiczną uważałam za prostą kuchnię (nb. ten pogląd w pewnych kręgach chemików wciąż niestety pokutuje), wybrałam więc chemię fizyczną, która wydała mi się najodpowiedniejsza intelektualnie. „Pracę badawczą” rozpoczęłam wraz z Janką Pawlikowską, Zośką Stark, Stanisławem Kuśmierczykiem i Zdzisławem Szegłowskim pod kierunkiem mgr. Andrzeja Pomianowskiego. Był do niej potrzebny intelekt specyficznego rodzaju, łączący myśl twórczą z umiejętnościami manualnymi. Moim zadaniem było wykonanie funkcjonującego aparatu flotacyjnego z celuloidu. To było straszne! Już w dzieciństwie zabawki choinkowe mojej produkcji wykazywały brak zrozumienia konieczności istnienia w pewnych przypadkach kąta prostego. Linii prostych nie znosiłam wręcz organicznie. Brak uznania dla nich, preferowanie linii



Fot. 1. Dyplom Klubu Kotów



krzywych czy wręcz falistych był przyczyną tego, że aparat flotacyjny mojego projektu po napełnieniu wodą i włączeniu mieszkadła zaczął przypominać fontannę, która wpadła w drgawki i po prostu się rozleciała. Przypuszczam, że ten fakt ktoś opisał, bo trafił on w nieco zmienionej postaci do książki (a zwłaszcza do filmu) *Grek Zorba* w scenie rozładowującej się kolejki do transportu drzewa.

Koło naukowe oprócz prac badawczych prowadziło także działalność odczytową. Opiekunem koła był wówczas Andrzej Pomianowski, a przewodniczącym wyróżniający się student z naszego roku, Andrzej Barański. Niezwykłą aktywność wykazywał wówczas Janek, zwany Szczypiórkiem. Bardzo pracowity, zawsze miał zbyt dużo materiału zebranego do referatu. Referat był więc przenoszony na następne zebrania, jako część druga, trzecia, czwarta i ustawał wówczas, gdy na zebraniu byli obecni już tylko: opiekun koła, przewodniczący i referujący.

Gdy pewnego razu, już po latach, spotkałam Szczypiórka na zjeździe PTChem i usłyszałam pod jego adresem kilkukrotne upomnienie: „Panie Kolego, informuję, że przekroczył Pan czas wypowiedzi”, poczułam się przeniesiona do krainy młodości, na zebranie Koła Naukowego Chemików AD 1954.

Koło Chemików odgrywało wówczas ważną rolę. Czuliśmy się wolni, bo nie sprawdzano obecności, jak to miało miejsce na wykładach, nie stawiano stopni, nie urządzano sprawdzianów. Pracowaliśmy z własnej woli, bez nakazu, z samej potrzeby i ciekawości. Pozostawiono nam dużą samodzielność. Uczyliśmy się publicznej dyskusji, prowadzenia wykładu, prowadzenia doświadczeń. Nasi ówcześni nauczyciele doceniali rolę koła i czynnie uczestniczyli w jego pracy. I to co było ważne, było ono wyspą na oceanie indoktrynacji, do której nie miał wstępu duch największego wodza wszechczasów.

Ewa ŚLEDZIEWSKA, dr hab.; ur. 20 maja 1933 r. w Krakowie, zamężna, 1 syn. Mgr 1955, dr 1962, dr hab. 1972. Studiowała chemię na Wydziale Matematyki, Fizyki i Chemii UJ w latach 1951–1955. Asystent i adiunkt w Zakładzie Chemii Organicznej UJ (1955–1972). Docent w Zakładzie Chemii Organicznej (1972–dziś). Staże zagraniczne: Uniwersytet Neuchâtel, Szwajcaria (1970), Uniwersytet Essenia, Oran, Algieria (1983–1987) – zatrudniona na stanowisku profesora.